

Fred, M. Withe.

Szkarłatna orchidea

Przekład J. S.

18

— A więc ten młody urwisz należy do tej historii?

— Oczywiście! Przekupiłem jednego ze służby księcia, który mi powiedział, że Denvers, przebrany za adjutanta, był z księciem na maskowym balu u pana. Ten chytry młodzieniec popsuł panu grę. On też dopomógł pani Bernsteinowej obrócić ostrze przeciw panu. Koncesja jest już tak, jak jego.

— Skąd pochodzą pieniądze jednak, potrzebne do wykupu klejnotu? O ile wiem, książę znajdował się w wielkich kłopotach pieniężnych.

— Nie wielka rzecz — wzruszył Arnoft ramionami — Czy nie był pan wczoraj gościem pani Bernsteinowej? Kogóż pan tam widział? Mózg pański rzeczywiście osłabł, panie Frobisher. Czy pan się nie domyśla, poco tam był Pakford?

Frobisher uderzył się dłonią w czoło.

— Ach, nie pomyślałem o tem! Dziś sam pojechałbym najchętniej do Paryża, muszę jednak być przy sądowych oględzinach zwłok. Niech pan narazie o wszystkim zamilczy, panie Arnoft, ale wieczorem proszę pana, niech pan przyjdzie do mnie, to się naradzimy, co czynić dalej.

— A jak stoi sprawa z panną Lynn?

— Z tego powodu niech się pan wcale nie martwi. Nie zna ona jeszcze mojej woli — już ona się zgodzi. Dlaczego pan się upiera przy małżeństwie z dziewczyną, która pana nienawidzi, tego absolutnie nie rozumiem. Ale to już pańska rzecz. A więc do widzenia wieczorem!

Wpół godziny później pojechał Frobisher na plac Lennox, przekonany, że jego zeznanie będzie nic nie znaczącą formalnością. Ogród pełen już był ciekawych, gdyż dzienniki podały najnieprawdopodobniejsze historie o „tajemnicy orchidei”.

Frobisher wszedł do pokoju, gdzie zgromadzeni byli sędziowie i urzędnicy, wśród których zauważył inspektora Townsenda. Ten ostatni, na zapytanie Frobishera, poco jego tu wezwano, odpowiedział wymijająco.

Po załatwieniu wstępnych formalności, poproszono Frobishera na ławę świadków i zaprzysiężono go. Miał on minę bardzo pewną siebie i spokojnie oczekiwał na przemówienie przewodniczącego.

— Chciałbym panu, panie Frobisher, zadać kilka pytań — zaczął przewodniczący. — Dowiedział się pan z pewnością z gazet, że nieznajomy, którego tu znalezione bez życia, wedle przypuszczeń został uduszony twardą liną, którą mu zarzucono z tyłu na szyję.

— Czy pan jest tego pewnym? — przerwał mu Frobisher.

— Narazie będziemy obstawać przy tem twierdzeniu — brzmiała odpowiedź. — Według zeznań ogrodniczka znajdował się w cieplarni rzadki okaz orchidei, którą jakiś obcy pan dał tu do przechowania. Orchidea ta zniknęła po zamordowaniu nieznajomego.

— To szczególne! — rzekł Frobisher z miną obojętną. — Mnie to jednak nic nie interesuje.

— Może jednak — zaprotestował sędzia. — Jesteśmy mianowicie zdania, że dwóch ludzi dążyło do posiadania tej rośliny: ów nieznajomy i jego morderca. Roślina musiała być bardzo cenna, jeśli dała powód do takiej zbrodni. Jeszcze bardziej zagadkową czyni sprawę ta okoliczność, że następnego wieczora popełniono takąsamą zbrodnię w pańskiej oranżerii. Pan też posiada cenne orchidee, panie Frobisher?

Frobisher skinął głową. Nie czuł on się już tak pewnym, jak poprzednio, czuł bowiem, że pod tem prostym pytaniem kryje się pułapka. Mimo to odparł z dumą:

— Mogę się pochwalić, że posiadam najpiękniejszy zbiór orchidei w Londynie.

— Które amatora mogłyby nawet do zbrodni popchnąć? — wtrącił przewodniczący.

— Tak jest. Kogo opanował szal zbierania, tego on już nie opuszcza. Cenna orchidea, nawet jeśli skradziona, łatwo da się sprzedać.

— Panowie zbieracze zdają się mieć dość

szerokie sumienie — zauważył ironicznie przewodniczący. A więc mielibyśmy niejako przypuszczalny motyw zbrodni. Zatrzymajmy się chwilę przy zdarzeniu w pańskiej oranżerii, panie Frobisher. Co mogło skłonić pana Manfreda do udania się do cieplarni? Odszedł od stołu pod pozorem silnego bólu głowy. Przypuszczano, że spoczywa w jednym z pokoi, znaleziono go nieżywego wśród pańskich kwiatów. Czy sądzi pan, że chodziło mu może o jeden z tych kwiatów?

— Być może — odparł sir Clemens.

— Czy domyślasz się pan, o który kwiat mu chodziło?

Frobisher drgnął lekko — widział się złapanym w pułapkę. Prokurator wiedział z pewnością więcej, aniżeli pokazywał po sobie, a pytania jego zdążyły widocznie do wydobywania ze świadka zeznań.

— Mam kilka bardzo rzadkich okazów orchidei — rzekł Frobisher niepewnie.

Prokurator zmienił natychmiast temat. Widocznie nie chciał przed czasem zrazić świadka. Następne jednak pytanie zaniepokoiło Frobishera jeszcze bardziej.

— Spójrzmy na tę sprawę z innego punktu — zaczął prokurator powoli. — Mniej więcej wiem zatem, że skradziono tutaj rzadki okaz orchidei. Powiedział mi pan przed chwilą, że amator tych roślin nie zawaha się przed kupnem nawet skradzionej orchidei. Czy i pan zrobiłby to samo?

— W danych warunkach — tak.

— Hm — a teraz chciałbym pana o coś wręcz zapytać. Pan wie to równie dobrze, jak ja, o której godzinie nieznajomy został zamordowany. Czy od tej pory nabył pan nową, cenną orchideę?

Frobisher zmartwiał. Tego pytania się nie spodziewał. Jakby zasłona spadła mu z oczu; czuł przepaść pod nogami.

— Ja — kupiłem wprawdzie bardzo rzadki okaz tegosamego wieczora...

— Ach, bardzo rzadki egzemplarz — powtórzył prokurator. — To bardzo ciekawe. Czy kwiat ten ma jakąś szczególną nazwę?

— Tak, zowią go szkarłatną orchideą — rzekł z widoczną niechęcią zapytany. — Pochodzi ona z Kurdistanu.

— Tak jest. Szkarłatna orchidea została skradziona ze świątyni z Ghan, a wedle podań ludowych posiadać miała nadprzyrodzone siły. Zbrodniarze, skazani na zerwanie kwiatu tej rośliny, tracili przytem życie w takisam sposób, jak pan Manfred i ten nieznajomy. Przypuszczam, że pan wiedział o tem, nabywając orchideę.

— Historia ta znana jest wszystkim amatorom orchidei — odparł sprytnie Frobisher.

— Kupił ją pan zatem w godzinę, albo dwie, po dokonaniu tutaj morderstwa?

Frobisher otarł krople potu z czoła.

— Tak jest — odpowiedział. — Tejsamej nocy mi ją ofiarowano i kupiłem ją.

— Za jaką cenę?

Chwilę zawahał się zapytany z odpowiedzią. Błyskawicznie przypomniał sobie, że nic nie zapłacił, tylko że przyrzekł Lopezowi w danym wypadku potwierdzić fałszywie jego alibi.

— Ile pan zapłacił za szkarłatną orchideę? — powtórzył przewodniczący.

— O, mało — jękał się zakłopotany Frobisher — to jest, właściwie nie pieniędzmi. Człowiek, który mi ją ofiarował...

— Czy jest tutaj obecny? Niech się pan rozejrzy!

Frobisher rozglądał się dokoła, ale Lopez nie było.

— No — i bez niego się obejdzie — rzekł powoli prokurator. — Znał pan zatem historię szkarłatnej orchidei i wiedział pan także, że w jej sile nie było nadprzyrodzonej władzy?

— W to wierza tylko zabobonni mieszkańcy Kurdistanu — odparł Frobisher.

— Więc jakiś podstęp tu tkwi. Proszę, niech pan dobrze uważa na moje słowa, panie Frobisher. Wiedział pan o niebezpiecznej właściwości orchidei, wiedział pan, że pan Manfred wskutek tego właśnie stracił życie i że tak samo zginął ten nieznajomy. Temu pan nie przeczy?

— Czyż próbowałem?

— Tego nie twierdzę. Stwierdzam tylko, że pan o tem zamilczał, wiedząc, jak ważnem to jest dla władzy. Czemu pan tego, co pan wiedział, nie doniósł policyi? Czemu pan zamilczał o tem zarówno przed lekarzem, jak i przed przyjaciółmi?

Frobisher odpowiedział coś niezrozumiale. Czuł się nagle postarzałym o lata całe, niezdolnym do opanowania się, ani do utrzymania nerwów w porządku. Przypominał sobie wyraźnie, że widział ludzi, zasiadających na ławie świadków z całą pewnością siebie, a opuszczających salę złamanych. Połowę majątku dałby w tej chwili, gdyby mógł dowiedzieć się, co i ile o nim wiedziano.

— Toby nie miało żadnego celu — odparł nareszcie na postawione mu zapytanie.

— Czy seryo pan myśli, że w to uwierzymy? — odpowiedział sarkastycznie prokurator. — Wobec faktu, że pan miał w ręku rozwiązanie zagadki? Kiedy pan kupił szkarłatną orchideę?

— W no. ty popełnionej kradzieży.

— Czy znał pan człowieka, który panu orchideę sprzedał?

— Tak, znałem go od szeregu lat. Odwiedził mnie on także i poprzedzającej nocy.

— To coraz gorzej — szepnął prokurator do siebie, głośno zaś dodał — czy pan próbował kiedy przedtem sam, lub też z czyją pomocą dostać szkarłatną orchideę?

— O, tak — przyznał Frobisher otwarcie. — Plany moje nie udawały się jednak. Roślinę ktoś skradł i podzielił na trzy części. Jedna dostała się do Ameryki, druga do Stambułu, gdzie omal życiem nie przypłaciłem poszukiwań, trzecia zaś spaliła się w Turynie.

— Czy ówczesny spółnik pański nie nazywał się Lefroy? — badał prokurator. — Słyszałem, że pan dawniej dużo z nim miał wspólnych interesów, w ostatnich zaś latach stosunki te rozluźniły się. Zapewne jeden drugiemu nie dowierzał.

— Jesteśmy obaj ze zbyt ostrej stali — wtrącił Frobisher.

— Niedawno jednak obaj panowie byliście mocno zajęci uzyskaniem pewnej koncesji od chana Kurdistanu. Chan zaś ze względów politycznych pragnął przyjść w posiadanie szkarłatnej orchidei. Czy byłby mu ją pan oddał w zamian za koncesję?

— Tak jest. Miałem ten zamiar.

— Czy nie było więc niebezpiecznie zapraszać do siebie hrabiego i pokazywać mu orchideę?

— Dlaczego niebezpiecznie?

— Bo hrabia Lefroy miał zamiar wykraść orchideę. Zamiar ten próbował nawet wykonać z pomocą pana Manfreda, który to życiem przypłacił. Czy pan wie, jak się to stało?

— Nie, wiem tylko, że każdy, kto w pewnych warunkach zbliży się do orchidei, traci życie. Pytanie pana brzmi prawie tak, jak gdybym ja winien był nieszczęściu.

— Tak nie myślałem, tylko że pan mógł wyjaśnić kwestię, gdyby pan był chciał. Poda nam pan przynajmniej nazwisko tego, który panu orchideę sprzedał.

— Nazywa się on Paweł Lopez, więcej nie wiem.

— A przecież pan tego człowieka zna dokładnie?

Frobisher zawahał się chwilę, czy ma zaprzeczyć, ale zdecydował się na otwartość.

— Znam go od dawna, byłem jednak całkiem zdumiony, kiedy mi przyniósł orchideę.

— Pańskie zeznania są nam narazie zupełnie wystarczające, panie Frobisher — rzekł przewodniczący — potem może jeszcze będziemy musieli pana raz jeszcze pofatygować. Zawołaj Pawła Lopez!

Townsend powstał.

— Nie można go odszukać — oznajmił. — Przypuszczamy, że uciekł do Paryża, wnet go jednak znajdziemy. Może pan odroczy rozprawę na parę dni — do czwartku?

Przewodniczący zgodził się na to i zamknął posiedzenie. Niespostrzeżony wyszedł także wśród mnóstwa ciekawych Frobisher; był w usposobieniu zgnębionem i miał uczucie, jak gdyby mu się ziemia usuwała z pod nóg.

Przechodząc, zauważył panią Bernsteinową, która przy swoim powozie rozmawiała właśnie z Townsendem.

— Co pan robi, jak pan znajdzie tego Lopez? — zapytała.

— Zaaresztuję go pod zarzutem popełnienia morderstwa.

— Którego wcale nie popełnił — zaprzeczyła pani Iza. — Ale wszystko jedno, może być i tak. Dziś wieczorem zatelefonuję do pana i będę oczekiwać niezwłocznie pańskiego przybycia.

(Ciąg dalszy nastąpi).